

Wojciech Lenarczyk

## „TYGODNIK POWSZECHNY” W LATACH 1945–1989 PROBLEM BAZY ŹRÓDŁOWEJ I METODOLOGII BADAŃ

Od przemian politycznych w Polsce, czyli od 1989 r. daje się zaobserwować wzrost zainteresowania historią tzw. Polski Ludowej. Mimo jego dostrzegalnych efektów, nie wszystkie pola badawcze są w równym stopniu eksploatowane: zainteresowanie budzą zwłaszcza te dziedziny, które w poprzednich latach poddane były daleko idącej manipulacji lub pomijane milczeniem. W świetle dotychczasowych wyników badań prasa okresu komunistycznego okazuje się mało atrakcyjnym tematem: żaden z tytułów, ukazujących się w latach 1945–1989 nie doczekał się po 1989 r. całościowego naukowego opracowania. Zważywszy na rolę mediów w społeczeństwie XX w. należałoby oczekiwać większej uwagi ze strony badaczy: zarówno historyków jak i prasoznawców<sup>1</sup>. Nie oznacza to, że tematyka pozostaje poza obszarem poszukiwań naukowych: dysponujemy licznymi studiami cząstkowymi, a materiały prasowe często są wykorzystywane jako źródło uzupełniające do rozważań opartych na archiwaliach. Faktem jest jednak, że rezultat poszukiwań dalece odbiega od potrzeb i oczekiwań, nie odpowiada randze przekazów prasowych i nie rekompensuje braku ujęć całościowych.

Brak monografii poszczególnych tytułów prasowych ma swoje wielorakie uzasadnienie. Jednym z jego powodów jest bez wątpienia sceptycyzm badaczy związany ze źródłową wartością materiałów prasowych. W jego uzasadnieniu eksponuje się instrumentalny wymiar prasy: w przeciwieństwie do krajów demokratycznych, polskie media miały być pozbawione funkcji informacyjnych, i zamiast być forum debaty publicznej, stanowiły narzędzie Partii w „urabianiu”

---

<sup>1</sup> Por. uwagi Eduarda Mühle we wprowadzeniu do publikacji dokumentującej wyniki konferencji poświęconej problemom prasy w krajach Europy Środkowo-Wschodniej: E. Mühle, *Einführung*, w: E. Mühle (Hrsg.), *Vom Instrument der Partei zur „Vierten Gewalt”*. *Die ostmittel-europäische Presse als zeithistorische Quelle*, Marburg 1997 (Tagungen zur Ostmitteleuropa-Forschung: 4), s. 1–10.

społeczeństwa. Dowodem ilustrującym powyższe argumenty ma być ewidentny brak zgodności pomiędzy „ludową” rzeczywistością a jej prasowym odzwierciedleniem.

Nie negując wskazywanej specyfiki, trudno zgodzić się z argumentem ograniczającym w praktyce źródłowe wykorzystanie przekazów prasowych. Pozostawienie tego zagadnienia poza obszarem badawczym pozbawi nas możliwości rozpoznania wielu aspektów, istotnych dla rekonstrukcji dziejów Polski Ludowej. Badacz nie może pozostać obojętny wobec faktu, że dla większości Polaków oficjalne przekazy medialne stanowiły główne, a nawet jedyne źródło wiedzy o otaczającej ich rzeczywistości. Mimo ograniczonej wiarygodności dostępnych w prasie komunikatów, to one współkreowały zbiorowe wyobrażenia, kształtowały opinię publiczną, stanowiły podstawowy punkt odniesienia dla formułowanych poglądów. Wokół poszczególnych tytułów gromadziły się niekiedy znaczące kręgi intelektualne, w niektórych przypadkach postrzegane przez czytelników jako autentyczni i krytyczni przedstawiciele społeczeństwa. Przyjmując do wiadomości oczywistą prawdę, że prasa stanowiła narzędzie manipulacji, warto jednocześnie mieć na uwadze fakt, że bez uwzględnienia jej jako pełnoprawnego źródła historycznego nie będziemy władni ustalić jak manipulowano, za pomocą jakich argumentów, obrazów, narzędzi językowych, zubażając tym samym refleksję nad polityką informacyjną państwa i jej praktycznym wymiarem.

Sceptycyzm wobec źródłowej wartości przekazów prasowych nie wyczerpuje pytania o przyczyny daleko posuniętej obojętności badawczej wobec tematu, jakim jest społeczna i polityczna rola prasy w latach 1944/45–1989. Właściwym uzasadnieniem obserwowanych zaległości w badaniach historycznych nad prasą wydaje się rozległość bazy źródłowej. Do kanonicznych zasad warsztatu historyka należy założenie, że wykorzysta on wszystkie pozostające do dyspozycji badacza źródła. Jest to postulat w równym stopniu uzasadniony, co z różnych względów, przynajmniej dla XX stulecia, iluzoryczny. Zasadniczym powodem jest tu fizyczna niezdolność zrealizowania tego ideału badawczego. Nie zwalnia to jednak z wymogu możliwie jak najszerzej podbudowy źródłowej.

W niniejszym artykule został zaprezentowany przegląd zasobów źródłowych użytecznych w projekcie monografii „Tygodnika Powszechnego”. Krakowski tygodnik powołany do życia w 1945 r. z inspiracji i pod protektorem kardynała Adama Sapiehy pod wieloma względami wyróżniał się spośród periodyków ukazujących się w komunistycznej Polsce. Już sam fakt ciągłości wydawniczej pisma o profilu społeczno-kulturalnym zasługuje na uwagę. „Tygodnik” wśród innych tytułów należał bowiem do nielicznych tytułów o tak długim trwaniu, gdyż niemal nieprzerwanie ukazywał się w latach 1945–1989, i co równie istotne, pod niezmiennym kierownictwem<sup>2</sup>. Od początku istnienia pisma, aż po kres „demo-

<sup>2</sup> Dwie przerwy przypadają na lata 1953–1956 i przełom 1981/1982.

kracji ludowej” kierował nim Jerzy Turowicz<sup>3</sup>. Zasadniczą odmiennością „Tygodnika” określała jego niezależność w stosunku do państwa: fundamentalną zasadą towarzyszącą redagowaniu pisma było założenie ignorowania wszelkich propozycji i sugestii płynących od aparatu władzy<sup>4</sup>. Chciałbym przy tym zaznaczyć, że ową niezależność należy postrzegać w realnej perspektywie. Znane są sporadyczne wypadki, kiedy redakcja ugięła się pod presją władz w imię ratowania tytułu, wybierając „mniejsze zło”. Sam redaktor naczelny przyznał w rozmowie z Jackiem Żakowskim, że „często jesteśmy jednak zmuszeni do drukowania tekstów, które nie znanadto nam odpowiadają, bo albo autor jest osobą, której nie można odmówić, albo też temat wydaje się tak ważny, że nie można go pominąć, a nie możemy liczyć na lepszy artykuł”<sup>5</sup>. W zdecydowanej jednak większości ogłoszone na łamach pisma artykuły wynikały i wynikają ze świadomej decyzji kolegium redakcyjnego, co ma niebagatelne znaczenie dla ich analizy.

„Tygodnik Powszechny”, podobnie jak zdecydowana większość druków ukazujących się w Polsce, podlegał kontroli władz. Już decyzja o powołaniu pisma wiązała się z założeniem podporządkowania się zewnętrznym ograniczeniom, określanym przez państwo. Oczywiście w momencie uruchomienia tytułu nikt z redaktorów nie mógł przewidzieć, jakie będą granice wolności słowa. W pierwszej połowie 1945 r. zrozumiałym uzasadnieniem dla kontroli słowa mogła być tocząca się ciągle wojna. Pierwsze lata powojenne pozwalały na złudzenie, że władze w swoich poczynaniach względem mediów kierować się będą umiarem, połączonym z rozsądną dawką liberalizmu. W rzeczywistości jednak polityka prasowa realizowana w Polsce niemal od pierwszych lat „nowej rzeczywistości” zmierzała do monopolu informacyjnego państwa, w sposób oczywisty odwołując się do doświadczeń Związku Radzieckiego<sup>6</sup>. Pozycję prawną prasy określały różne akty prawne, z konstytucyjnym na czele, gwarantujące wolność słowa. W praktyce wolność ta w pełni mogła być realizowana w zakresie gloryfikacji kształtującego się porządku społeczno-politycznego, natomiast głosy krytyczne, postrzegane jako zagrożenie dla stabilności systemu, miały być eliminowane w myśl zasady wypowiedzianej przez Jakuba Bermana w trakcie zjazdu delegatów wojewódzkich i miejskich biur kontroli prasy, który odbył się w dniach 23–25

<sup>3</sup> W pierwszych latach funkcjonowania „Tygodnika” formalnym redaktorem odpowiedzialnym był Jerzy Turowicz, jednak faktycznie kierował pismem był ks. Jan Piwowarczyk. Por. J. Żakowski, *Trzy ćwiartki wieku. Rozmowy z Jerzym Turowiczem*, Kraków 1990, s. 43–44.

<sup>4</sup> W typologii proponowanej przez Andrzeja Paczkowskiego „Tygodnik” został zaklasyfikowany do kategorii pism „kontrolowanych”, w odróżnieniu do większości tytułów przynależnych do kategorii pism „sterowanych” („gelenkte Presse”): A. Paczkowski, *Zur politischen Geschichte der Presse in der Volksrepublik Polen (1944–1989)*, w: E. Mühle (Hrsg.), *op. cit.*, s. 25. Przywoływany przez A. Paczkowskiego model został wypracowany przez Michaila Stankovitscha.

<sup>5</sup> J. Żakowski, *op. cit.*, s. 67–68.

<sup>6</sup> T. Globan-Klas, *Stalinism and the Press. Soviet Patterns and Polish Variations*, w: E. Mühle (Hrsg.), *op. cit.*, s. 14.

maja 1945 r.: „nie będzie wolności [...] dla reakcjonistów, dla faszystów”<sup>7</sup>. Zgodnie z tą nadrzędną normą, prasie przypisano funkcję „pasa transmisyjnego”, za pomocą którego władza porozumiewać się miała ze społeczeństwem, dokładniej mówiąc instruować je o swoich zamierzeniach i oczekiwaniach. Natomiast dziennikarzom wyznaczono rolę funkcjonariuszy frontu ideologicznego. Tytuły prasowe nie mieszczące się w tak nakreślonych ramach miały być skazane na stopniowe wypieranie z rynku, aż po ich likwidację. Tak zdefiniowany model niemal w pełni zrealizowany w pierwszych latach pięćdziesiątych, został poważnie naruszony w następstwie kryzysu 1956 r. Nawet „przełom październikowy” nie wyznaczył zasadniczej zmiany w zakresie polityki wobec prasy, zachowując generalne wytyczne, sformułowane u progu socjalistycznej państwowości. Trwałą zdobyczą okazało się zdecydowanie szersze pole dyskusji i obecność nielicznych tytułów, w tym odrodzonego „Tygodnika Powszechnego”, wśród legalnych i niechętnie, ale jednak tolerowanych czasopism.

Nakreślona powyżej funkcję mediów miały gwarantować różnorodne formy kontroli przez aparat państwowy i partyjny. Bezpośrednia ingerencja w przeznaczone do druku teksty należała do jednej, i niekoniecznie najważniejszej, z metod krępowania wolności słowa. Katalog narzędzi, którymi dysponowały władze był jednak znacznie szerszy: kontrola dokonywała się poprzez kumulację własności w rękach państwa i wszelkie z tym związane konsekwencje, odpowiednie kształcenie i dobór kadry dziennikarskiej, określanie nakładu i reglamentację papieru. Były to wystarczające narzędzia, by zapewnić sobie skuteczny nadzór w okresach stabilizacji. Okazywały się jednak zawodne w momentach kryzysowych, kiedy instancje kontrolne otrzymywały sprzeczne impulsy od kierownictwa partyjnego<sup>8</sup>.

Do kategorii truizmów należy zaliczyć stwierdzenie, że materiały zamieszczone na łamach jakiegokolwiek tytułu prasowego stanowią punkt wyjścia i absolutną podstawę do rekonstrukcji jego historii. Posiłkowanie się tylko tym typem materiału źródłowego mogłoby spełnić obawę Stefana Kisielewskiego, czołowego publicysty „Tygodnika Powszechnego”, że przyszli historycy, zainteresowani przeszłością Polski Ludowej, odtwarzając jej dzieje w na podstawie prasy, sformułują wnioski nieadekwatne do socjalistycznej rzeczywistości.

Właściwie sformułowane pytanie powinno brzmieć: czy kolejne roczniki stanowią wystarczającą podstawę do rekonstrukcji linii programowej i poruszanych przez redakcję tematów. Nawet najbardziej skrupulatna analiza produkcji dziennikarskiej, połączona z niezmiernie trudnym rozpoznanem zapisów aluzyjnych,

<sup>7</sup> Stenogram ze zjazdu delegatów wojewódzkich i miejskich biur kontroli prasy w dn. 23, 24 i 25 maja 1945 r., w: *Główny Urząd Kontroli Prasy 1945–1949*, oprac. D. Nałęcz, Warszawa 1994 („Dokumenty do dziejów PRL”, z. 6), s. 34.

<sup>8</sup> D. Bingen, *Propagandamedium und Abbild. Überlegungen zum Quellenwert der polnischen Presse in sozialistischer Zeit*, w: E. Mühle (Hrsg.), *op. cit.*, s. 84.

będzie ograniczona do tego, co najbardziej widoczne, i w zasadzie istotne dla pracy każdej redakcji, czyli do tego, co dotarło do odbiorcy. Z tych materiałów nie dowiemy się jednak, które z poglądów czy tematów uważanych przez redaktorów „Tygodnika Powszechnego” za ważne nie znalazły odzwierciedlenia w publicystyce. Rekonstrukcja wątków wykluczonych na drodze administracyjnej jest możliwa na podstawie innych zespołów źródeł. Przykład edycji *Pism Wybranych* Stefana Kisielewskiego, bazującej w dużym stopniu na materiałach archiwum rodziny Kisielewskich dowodzi, że zachowały się w nim pierwotne, przedcenzorskie wersje wielu artykułów. Zapewne i w innych prywatnych archiwach znajdują się teksty w ich pierwotnym kształcie, nie poddane obróbce cenzorskiej. Nadzieję na szerszy wgląd w prywatną dokumentację ludzi ze środowiska „Tygodnika Powszechnego” można wiązać z zamiarami udostępnienia badaczom spuścizny archiwalnej po zmarłym w 1999 r. redaktorze naczelnym, Jerzym Turowiczu. Szczególnie interesująca z perspektywy badacza jest idea przekształcenia archiwum Turowicza w placówkę dokumentującą aktywność całego środowiska<sup>9</sup>. Do momentu uporządkowania, opracowania i udostępnienia archiwum trudno jest powiedzieć, jaką rzeczywistą wartość historyczną przedstawiają zgromadzone tam materiały. Jednak dotychczasowe enuncjacje prasowe i publikacje „znalezisk” na łamach „Tygodnika” pozwalają na uzasadnione przypuszczenie, że upublicznienie zbiorów w istotnym stopniu poszerzy bazę źródłową do poznania historii krakowskiego środowiska katolików świeckich<sup>10</sup>.

Równie obiecująco rysuje się perspektywa kwerendy w archiwach cenzury<sup>11</sup>. Dla celów szkoleniowych i sprawozdawczych zachowywano „wyingerowane” fragmenty poddanych kontroli wypowiedzi, a w niektórych wypadkach w zbiorach zachowały się całe artykuły, nie dopuszczone do druku. Na marginesie warto zaznaczyć, że cenzorzy sporządzali niekiedy notatki z rozmów z dziennikarzami, rejestrując ich reakcje na cięcia. Takie zapiski pozwalają skonfrontować opinie wyrażane w różnych wypowiedziach wspomnieniowych. Natomiast komentarze zwyczajowo towarzyszące ingerencjom cenzorskim mogą być cenną wskazówką interpretacyjną.

Materiały cenzury wydają się przedstawiać szczególną wartość poznawczą w przypadku redakcji, która nie praktykowała spotykanej w innych pismach cen-

<sup>9</sup> J. Sadecki, *Fascynujące zbiory Jerzego Turowicza*, „Rzeczpospolita” z 30 stycznia 2000 r.

<sup>10</sup> Z informacji zamieszczonych na internetowej stronie „Tygodnika” dowiadujemy się, że wyodrębniono już 1200 korespondentów Jerzego Turowicza. Do tego grona należeli m.in. Jan Paweł II, kardynał Stefan Wyszyński, Czesław Miłosz, Zbigniew Herbert, Maria Dąbrowska, Józef Czapski, a także współtwórcy środowiska „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”: Antoni Gołubiew, Hanna Malewska, Stefan Kisielewski ([www.tygodnik.com.pl/arch-turowicz/index.html](http://www.tygodnik.com.pl/arch-turowicz/index.html)).

<sup>11</sup> Materiały pozostawione przez cenzurę, odnoszące się do „Tygodnika Powszechnego” są przechowywane w Archiwum Akt Nowych, a za lata 1960–1968 w Archiwum Państwowym w Krakowie.

zury wewnętrznej i z tego m.in. powodu była szczególnie skrupulatnie obserwowana przez organy kontrolujące prasę. Ich rola w historii pisma zasługuje bez wątpienia na osobne opracowanie, choćby z tej racji, że krakowski periodyk notował największą liczbę ingerencji cenzorskich<sup>12</sup>. Z racji na ramy prezentowanego tekstu możemy przywołać tylko kilka egzemplifikacji poruszanego fenomenu, bez ambicji ich całościowego opisanie. Przez pierwsze trzy lata istnienia pisma cenzura wykazywała daleko idącą wstrzemięźliwość w ingerowaniu w treść pisma. W wewnętrznych materiałach odnotowywano konstruktywną postawę redaktorów wobec zastrzeżeń cenzorów. Zmiana nastąpiła wraz z postępującą stalinizacją oraz wzrostem presji na Kościół i na organizacje z nim powiązane. W tym czasie ton recenzji cenzorskich wyraźnie ulega zaostrzeniu: wyrażano w nich m.in. przekonanie, że „Tygodnik Powszechny” przejął polityczne sympatie po zlikwidowanym „Tygodniku Warszawskim”. Uważny cenzor Jan Wakulczyński dostrzegł, że krakowski periodyk stosuje „jezuicką metodę przemycania swoich teorii w każdym prawie najniewinniejszym artykule”<sup>13</sup>. Szczególną uwagę przyciągał Stefan Kisielewski: widoczny jest niemal osobisty stosunek do pisarza oceniających go cenzorów, którzy notują „nie udane opowiadania np. Kisielewskiego” czy o „w wypoconym redakcyjnie” felietonie Kisielewskiego<sup>14</sup>. W ocenie numeru 39 z 26 września 1948 r. czytamy: „Kisiel ze swoim *Śmiejemy się bo humor krzepi* wmawia czytelnikowi, że najlepszym antidotum na wszystkie wydarzenia polityczne (a więc na obecną sytuację) jest śmiech. Ten śmiech został trochę przytłumiony ołówkiem cenzora, tak że chwilami robi wrażenie po prostu bajdurzącego bełkotu”<sup>15</sup>. Powyższe słowa dowodzą, że cenzorzy w świadomy sposób zmierzali do deformacji kontrolowanych tekstów.

Uzasadnienia postawy cenzorów można się doszukiwać w świadomości ludzi, przepełnionych, jak utrzymuje Krzysztof Kozłowski, poczuciem niespełnienia, a także w fakcie, że kontrola „Tygodnika Powszechnego” wykraczała dalece poza cenzorską rutynę, wymuszając maksymalną uwagę i ostrożność. Chciałbym w tym miejscu zaznaczyć, że trudno w każdej ingerencji doszukiwać się racjonalnego, opartego na odpowiednim zapisie cenzorskim uzasadnienia. Z perspektywy oceniającego zbyt częste skreślenie mogło zostać co najwyżej odnotowane

<sup>12</sup> Palmę pierwszeństwa w liczbie zakwestionowanych tekstów dzierżył bez wątpienia Stefan Kisielewski. Konsekwentnie domagał się, wbrew logice systemu, w którym funkcjonował, prawa do krytyki porządku społecznego. Mimo braku zrozumienia przez władze, pozostał w swoim stanowisku nieugięty. W przedmowie do zbioru felietonów *Sto razy głową w ścianę: felietony z lat 1945–1971*, opublikowanego w paryskim wydawnictwie Edition du Dialogue, utrzymywał nadal, że „satyra i sprzeciw są koniecznym elementem narodowego życia”. Cytat za: S. Kisielewski, *Sto razy głową w ścianę: felietony z lat 1945–1971*, Warszawa 1996, s. 8.

<sup>13</sup> Archiwum Akt Nowych, Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, sygn. 122 (9/19b), k. 164

<sup>14</sup> *Ibidem*, k. 275

<sup>15</sup> *Ibidem*, k. 142.

w materiałach sprawozdawczych jako nieuzasadnione. Natomiast przeoczenie zagrażało zawodowej stabilizacji cenzora: oznaczać mogło „utrata premii, blokadę awansu, niekiedy wyrzucenie z pracy”<sup>16</sup>. Jako formę asekuracji należy też rozumieć zmianę praktyki informowania o zastrzeżeniach pod adresem ocenianych tekstów. W celu uniknięcia protestów redakcji z ul. Wiślniej informacje o ingerencjach przekazywano telefonicznie, bez odsyłania zakwestionowanych tekstów.

W poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie o tematy wykluczone z publicznego obiegu w Polsce, a znajdujące się w polu zainteresowania publicystów „Tygodnika Powszechnego” użyteczne wydaje się sięgnięcie po wypowiedzi redaktorów zamieszczone na łamach prasy zagranicznej, emigracyjnej i „drugoobiegowej”. Przynajmniej niektórzy członkowie redakcji korzystali z gościnności periodyków nie podlegających kontroli organów cenzorskich.

Do powszechnych praktyk, mających na celu poszerzenie kręgu oddziaływania na katolicką i nie tylko opinię publiczną należało organizowanie dyskusji i prelekcji. Świadectwem tej formy aktywności może być choćby częściowo zachowana dokumentacja, przechowywana w archiwach Klubów Inteligencji Katolickiej, zwłaszcza w Warszawie i Krakowie.

Istotnym uzupełnieniem publicystyki „Tygodnika Powszechnego” są bez wątpienia zapiski o charakterze wspomnieniowym. Historyk zainteresowany dziejami pisma znajduje się w uprzywilejowanej sytuacji z tej racji, że główni twórcy periodyku zdecydowali się na upublicznienie swoich przemyśleń na temat pisma i własnej w nim roli. Swoimi wspomnieniami, niekiedy wielokrotnie, podzielili się m.in.: Jerzy Turowicz, Krzysztof Kozłowski, Mieczysław Pszon, Józefa Hennelowa, Stanisław Stomma, Antoni Gołubiew. Spośród głównych autorów krakowskiego tygodnika nie dysponujemy jedynie refleksjami ks. Jana Piwowarczyka<sup>17</sup>. Istotną wartość poznawczą przedstawiają także wspomnienia zarówno luźniej związanych z pismem współpracowników, jak i przeciwników realizowanej przez „Tygodnik” linii programowej. Ich zapiski wnoszą krytyczny dystans do różnych inicjatyw nie tylko wydawniczych Jerzego Turowicza, rzadko obecny we wspomnieniach redaktorów „Tygodnika”.

Różne w formie i czasie powstania wypowiedzi wymagają bez wątpienia indywidualnego podejścia przy ocenie ich wartości źródłowej. Relacje pisane z krótkiej perspektywy czasowej i w warunkach kontroli słowa, jak choćby wspomnienia Antoniego Gołubiewa<sup>18</sup>, są skażone niekompletnością: pewne wydarzenia lub

---

<sup>16</sup> *Wspomnienie Krzysztofa Kozłowskiego*, w: A. Pawlicki, *Kompletna szarość. Cenzura w latach 1965–1972. Instytucja i ludzie*, Warszawa 2001, s. 123. Konkretny przykład usunięcia cenzorki z pracy za przeoczenie podaje K. Kozłowski w rozmowie z Joanną Pruszyńską: *Wstrzymane do wyjaśnienia*, „Rzeczpospolita” z 15 kwietnia 2000 r.

<sup>17</sup> Ogłoszono jedynie wspomnienia ks. Jana Piwowarczyka z czasów okupacji niemieckiej. J. Piwowarczyk, *W hitlerowskim więzieniu*, „Tygodnik Powszechny” 1961, nr 2–6.

<sup>18</sup> A. Gołubiew, *Zaraz po wojnie*, w: tenże, *Unoszeni historią*, Kraków 1971, s. 309–379.

przemyslenia nie znalazły przełożenia na słowo pisane. Lekturze takich wypowiedzi powinna towarzyszyć świadomość ograniczeń, w skondensowanej formie wyekspozowanych w *Pamiętnikach* Pawła Jasienicy. Nadmierna szczerość czy też podjęcie tematów wykluczonych z dyskusji nie tylko narażało na interwencje cenzury, ale mogło stanowić podstawę prokuratorskiego wystąpienia i konsekwencje karne. Natomiast wypowiedzi sformułowane po upadku komunizmu są skażone nie tylko subiektywizmem typowym dla wszystkich tego rodzaju przekazów, ale przede wszystkim odległą perspektywą czasową i ocenami formułowanymi *ex post*.

Spośród zapisków o charakterze wspomnieniowym szczególnie zaufanie historyków budzą dzienniki. W przypadku „Tygodnika Powszechnego” dysponujemy kilkoma źródłami o takim charakterze, m.in. dziennikami Jerzego Zawieyskiego opublikowanymi w wersji ocenzonej<sup>19</sup>, a przez to o ograniczonej wartości źródłowej, i dziennikami Stefana Kisielewskiego. Ogłoszenie w 1996 r. intymnych rozważań i obserwacji czołowego publicysty „Tygodnika Powszechnego” wywołało niemałe poruszenie wśród czytającej publiczności. Zainteresowanie czytelników znalazło swój wyraz w ogromnym nakładzie<sup>20</sup> i licznych artykułach recenzyjnych<sup>21</sup>. Na sukces wydawniczy niemal tysięcznicowej publikacji bez wątpienia wpłynęła jej warstwa „sensacyjna”, zwłaszcza ostro sformułowane oceny, często sytuujące się na pograniczu inwektyw. Wykluczony z aktywnej pracy dziennikarskiej autor czuł się zwolniony w intymnych zapiskach z obowiązującej go lojalności wobec bliskich mu osób, z presji cenzury i towarzyskiej dyplomacji i pozwolił sobie na otwartą, czasami przechodzącą w brutalność ocenę ich poglądów i postaw.

Redukowanie wielopłaszczyznowego i niewątpliwie unikatowego dzieła do jednej tylko perspektywy personalnych potyczek wydaje się nieporozumieniem. *Dzienniki* Kisielewskiego domagają się, jak każde źródło krytycznej oceny ich wartości historycznej. Dotychczasowe wypowiedzi im poświęcone, włącznie z najbardziej obszerną pióra pani Iwony Hofman<sup>22</sup>, dalekie są od wyczerpania problemu.

Dla oceny „jakości” wyrażanych w *Dziennikach* opinii kluczową wydaje się sytuacja, w jakiej znalazł się ceniony publicysta. Jego wypowiedź z 1968 r. o „dyk-

---

<sup>19</sup> J. Zawieyski, *Kartki z dziennika 1955–1969*, wybór, wstęp i opracowanie J. Z. Brudnicki, B. Wit, Warszawa 1983. Warto wskazać też L. Tyrmanda „*Dziennik 1954*”, Warszawa 1999 oraz M. Skwarnickiego *Dzienniki 1982–1990*, Kraków 1998.

<sup>20</sup> Nakład całkowity kolejnych edycji *Dzienników* zbliżył się do 70 tysięcy egzemplarzy: e-mail Wiesława W. Uchańskiego z wydawnictwa „Iskry” do autora z 15 stycznia 2003 r.

<sup>21</sup> Z zarejestrowanych w bazie Biblioteki Narodowej recenzji z publikacji o tytule *Dzienniki* absolutna większość (25) przypada na oceny *Dzienników* Stefana Kisielewskiego.

<sup>22</sup> I. Hofman, *Dwugłós o Peerelu. Dzienniki Stefana Kisielewskiego i Marina Brandysa*, Lublin 2000.



taturze ciemniaków” spotkała się z gwałtowną reakcją Władysława Gomułki, osobiście dotkniętego słowami pisarza. Doszło wówczas do pobicia Kisielewskiego „przez nieznaną sprawców” i wciągnięcia pisarza na cenzorski indeks. Pisane do szuflady dzienniki stały się dla wybitnego publicysty zastępczym medium, istotnym wprawdzie, bo zapewniającym daleko większą swobodę w formułowaniu ocen, ale z perspektywy autora niewystarczającym, bo izolującym od tak ważnego dla Kisielewskiego czytelnika i potwierdzającym wykluczenie z udziału w życiu publicznym. Potwierdza to spadek zainteresowania dziennikiem, w momencie cofnięcia zakazu publikowania. Poczucie osamotnienia, wzmocnione świadomością nadchodzącej starości i przekonaniem o pisarskim niespełnieniu, zdecydowanie wpłynęło na ostrość formułowanych stanowisk, zresztą sam autor nie ukrywa, że jego „dzienniczek” jest pisany „złością.”

Dzienniki, mimo że w największym stopniu budzą zaufanie historyków z racji na fakt, iż nie są poddawane reinterpretacji i kompilacji, wykazują też istotne ograniczenia. Nie inaczej jest w wypadku analizowanych zapisków. Podobnie jak w innych dziennikach, zredagowanych w warunkach państwa policyjnego, także u Kisielewskiego wyraźnie jest limitowana szczerowość wyrażanych w nich opinii. Autor unika przywoływania zwłaszcza tych stanowisk, które mogłyby zostać wykorzystane, w sytuacji gdyby *Dzienniki* dostały się w ręce Służby Bezpieczeństwa.

Do cennych zapisów, w istotnym stopniu uzupełniających wiedzę na temat „Tygodnika”, można zaliczyć korespondencję. Dotychczasowe, nieliczne edycje listów osób powiązanych z pismem należy traktować jako zapowiedź kolejnych, bazujących na archiwach prywatnych<sup>23</sup>. Skądinąd wiadomo, że redaktorzy prowadzili nad wyraz ożywioną wymianę listów. Warto w tym miejscu nadmienić, że świadomość kontroli korespondencji skutecznie zniechęcała do nadmiernej wylewności.

Za kolejnym trop źródłowy, w istotnym stopniu rozszerzający perspektywę badawczą, należy uznać rozmowy z redaktorami pisma. Mimo wszystkich zastrzeżeń wysuwanych pod adresem tzw. źródeł wywołanych<sup>24</sup>, nie ulega wątpliwości, że niektóre szczegóły ważne z perspektywy badacza, władny jest on ustalić tylko w ten sposób. Dobrze przygotowana rozmowa i jej późniejsza krytyczna weryfikacja może stanowić cenne uzupełnienie innych materiałów źródłowych.

Każde pismo funkcjonuje w określonej przestrzeni publicznej: w wypadku gazet i czasopism PRL-owskich jej granice wyznaczali z jednej strony czytelnicy, z drugiej państwo, określające ramy dozwolonej dyskusji. W wypadku „Tygodnika Powszechnego” dochodził jeszcze jeden czynnik: Kościół. Wszystkie

<sup>23</sup> Takie plany m.in. przyświecają twórcom archiwum Turowicza.

<sup>24</sup> K. Kersten, *Pamięć i uprawianie historii*, w: *Historia, prawo, polityka*, red. J. Baszkiewicz, A. Bodnar, S. Gebethner, Warszawa 1990, s. 21–31.

z wskazanych elementów miały znaczenie dla egzystencji pisma. Miejsce czytelników w redakcyjnej perspektywie „Tygodnika Powszechnego” określają dwa założenia. Krakowski periodyk, programowo spełniający funkcję opiniotwórczą, w większym stopniu był nastawiony na kształtowanie czytelnika, niż uleganie jego preferencjom. Równocześnie od postawy czytelnika była uzależniona egzystencja tytułu, opierającego swój byt materialny na liczbie sprzedawanych egzemplarzy. Spadek popytu na publicystykę mógł prowadzić do jego likwidacji. Świadome tego stanu rzeczy władze jako jedną z form represji i presji na redakcję praktykowały karne zmniejszanie nakładu, w konsekwencji ograniczając krąg oddziaływania i ekonomiczną opłacalność przedsięwzięcia.

Możliwość precyzyjnego określenia kręgu czytelników i ich odbioru publicystyki „Tygodnika”, z uwagi na brak wiarygodnych badań czytelnictwa, wydaje się wątpliwa. Sami redaktorzy szacowali, że jeden egzemplarz był czytany przeciętnie przez dwanaście osób, a ogólna liczba czytelników oscylowała wokół granicy pół miliona<sup>25</sup>. Pomijając precyzję tych ustaleń, można z całą pewnością stwierdzić, że siła oddziaływania pisma była dużo większa, niż wynikałoby to z jego nakładu.

Jeszcze większą trudność niż określenie liczby czytelników przedstawia próba ustalenia recepcji proponowanych przez redakcję stanowisk. Ogólne stwierdzenie wyrażające się w poglądzie, że generalnie linia programowa „Tygodnika” była zgodna z wyobrażeniami i oczekiwaniami odbiorców, oparte na obserwacji, że nakład pisma nie odpowiadał popytowi, nie wydaje się zadowalające. Faktem jest jednak, że pismo w wolnej sprzedaży praktycznie nie było dostępne, a prenumerata możliwa tylko w wypadku zgonu poprzedniego abonenta. Zwroty natomiast wynikały z szykan stosowanych przez państwową sieć dystrybucji<sup>26</sup>. Zważywszy na fakt, że „Tygodnik” nie miał praktycznie konkurencji w postaci innych aspirujących do niezależności pism, powyższa obserwacja nie musi potwierdzać zgodności tez publicystów pisma z oczekiwaniami odbiorców. Czytelnikom poszukującym niezależnych opinii nie pozostawiono bowiem możliwości wyboru.

Mniej trudności nastęrcza określenie społecznego profilu odbiorców. Zakładany krąg czytelników nakreślono już w pierwszych numerach „Tygodnika Powszechnego”, kierując publicystykę przede wszystkim w stronę szeroko rozumianej inteligencji katolickiej. Ks. Andrzej Bardecki utrzymuje, że około 90%

---

<sup>25</sup> Ks. A. Bardecki, *Zawsze jest inaczej*, współpraca J. Poniewierski, A. Szostkiewicz, Kraków 1995, s. 155. Niestety, autor nie podaje do jakich lat odnoszą się przytoczone dane.

<sup>26</sup> Przykładem takiej sytuacji mogą być zapamiętane przez Krzysztofa Kozłowskiego opóźnienia w druku „Tygodnika”, spowodowane przeciągającą się kontrolą cenzorską. W konsekwencji czego „Egzemplarze nie docierały do kiosków. Wracaly jako nie rozpakowane, niesprzedane, naszym sznurkiem wiązane paczki”. K. Kozłowski, *Wstrzymane do wyjaśnienia*. Rozmowę przeprowadziła Joanna Pruszyńska, „Rzeczpospolita” z 15 kwietnia 2000 r.

duchowieństwa mniej lub bardziej systematycznie czytało krakowski tygodnik. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można przyjąć pogląd, że właśnie wśród wykształconych katolików „Tygodnik” cieszył się największą popularnością. Z lektury licznych publikacji wspomnieniowych wiadomo jednak, że czytany był także przez osoby dalekie od identyfikacji ze światopoglądem katolickim. Wpływ na szerszą recepcję pisma z pewnością miało otwarcie redakcji także na laickie kręgi inteligencji, zarówno w roli autorów, jak i czytelników. Symbolem tej postawy było zaproszenie do współpracy Antoniego Słonimskiego, który swój wybór miał uzasadnić argumentem, że „porządny człowiek pisze w porządnym piśmie”.

Tylko częściowo i dalece niepełnie da się zrekonstruować odbiór publicystyki z zamieszczanych na łamach gazety listów do redakcji. Ich niereprezentatywność polega na tym, że podlegały one wielopoziomowej selekcji. Tylko niewielka liczba czytelników decydowała się na pisemne uzewnętrznienie własnych refleksji, listy te tylko w selektywnym wyborze pojawiały się na łamach, dodatkowo przetrzebiane ingerencjami cenzury. Za bardziej miarodajne należy uznać listy kierowane pod adresem konkretnych dziennikarzy i zapewne zachowane w ich archiwach prywatnych.

Do grona założonych odbiorców należy zaliczyć też szeroko rozumiany obóz władzy: środowisko „Tygodnika” postrzegało siebie także jako moderatora w kontaktach pomiędzy Kościołem a państwem, akcentując tezę, że istniejący konflikt może zastąpić współpraca korzystna dla obu partnerów. Recepcję tego kręgu „czytelników” odnajdziemy w oficjalnej publicystyce, zasadniczo krytycznej, jeśli wręcz nie napastliwej wobec katolickiego pisma. W wypadku tych wypowiedzi nie mamy jednak pewności, w jakim stopniu odpowiadały one wewnętrznym przekonaniom dziennikarza, a w jakim były dyktowane zamówieniem politycznym. Wgląd w opinie nieprzeznaczone do publikacji i niestanowiące elementu kampanii politycznej dają m.in. odautorskie komentarze cenzorów. Zważywszy jednak na fakt, że urząd cenzorski (podobnie jak i Urząd do Spraw Wyznań) pełnił funkcje wykonawcze, a nie decyzyjne, określenie polityki wobec „Tygodnika” i jego oceny przez najwyższe czynniki polityczne narzuca konieczność kwerendy w zespołach archiwalnych pozostawionych przez centralne władze państwowe i partyjne, zwłaszcza te, w których kompetencjach leżała polityka prasowa i kościelna.

Do skrupulatnych obserwatorów oficjalnych, acz działających poufnie, należy zaliczyć policję polityczną. W świetle świadectwa Krzysztofa Kozłowskiego środowiskiem krakowskim interesowały się aż trzy pionierzy Służby Bezpieczeństwa<sup>27</sup>. Częściowo zachowana spuścizna, obecnie udostępniana badaczom, z pewnością poszerzy wiedzę na temat specyficznego nadzorca aktywności „Tygodni-

---

<sup>27</sup> W. Bereś, K. Burnetko, *Gliniarz z „Tygodnika”. Rozmowy z byłym ministrem spraw wewnętrznych Krzysztofem Kozłowskim*, [Warszawa 1991], s. 9.

ka Powszechnego”. Szczególnie obiecujące wydają się ocalone materiały operacyjne: na podstawie dotychczasowych ustaleń można wnioskować, że w tych zbiorach znajdują się m.in. informacje dotyczące treści oficjalnych i nieoficjalnych wypowiedzi ludzi z kręgu „Tygodnika”, rozpoznanie ich kontaktów zawodowych i osobistych oraz sytuacji wewnątrz zespołu redakcyjnego<sup>28</sup>.

Natomiast o relacjach między hierarchią Kościoła a „Tygodnikiem Powszechnym” powinny świadczyć, poza zapiskami wspomnieniowymi, słabo dotychczas rozpoznane materiały zgromadzone w archiwach kościelnych, a zwłaszcza w Archiwum Episkopatu i archiwum metropolii krakowskiej.

Przedmiotem monografii tytułu prasowego, poza analizą jego publicystyki oraz określeniem przestrzeni publicznej, w której funkcjonował, powinien być problem czasopisma jako instytucji. Każdy tytuł prasowy posiada własne zaplecze techniczne, budżet i powiązaną z nim politykę finansową, politykę kadrową czy obieg dokumentów. W rozpoznaniu tego wymiaru redakcyjnej rzeczywistości niezmiernie cenne wydają się archiwa redakcyjne. Z praktyki badawczej wiadomo, że takie archiwa zachowały się w incydentalnych wypadkach. Nie inaczej jest w wypadku „Tygodnika Powszechnego”, którego archiwum w dużym stopniu uległo destrukcji w wyniku wypadków losowych<sup>29</sup>. Zachowane jego szczątki, przechowywane w zbiorach wydawnictwa „Znak” zawierają jedynie szczotki drukarskie z naniesionymi ingerencjami cenzury. Brak właściwego archiwum wydaje się stawiać pod znakiem zapytania możliwość naukowego rozpoznania „Tygodnika Powszechnego” jako określonej instytucji. Za namiastkę zniszczonych materiałów mogą służyć po raz kolejny wskazywane zapisy autobiograficzne oraz, trudne do ilościowego określenia w tym momencie, pozostałości archiwalne Urzędu do spraw Wyznań. Urząd ten powołany do realizacji polityki wyznaniowej szczegółowo interesował się wszelkimi przejawami aktywności instytucji uznawanych za religijne. W jego zbiorach znajdują się informacje dotyczące nie tylko politycznego czy światopoglądowego usytuowania „Tygodnika”, ale także spis inwentaryzacyjny z wykazaniem zapleczem technicznym pisma, czy lista redaktorów, z odnotowanym przysługującym im wynagrodzeniem. Nie ma wątpliwości, że historyk, nawet z takich szczątkowych informacji jest zdolny wy prowadzić interesujące wnioski.

---

<sup>28</sup> Powyższe założenia potwierdza praca Ryszarda Terleckiego, *Profesorowie UJ w aktach UB i SB*, Kraków 2002.

<sup>29</sup> Nie wiadomo, w jakim stanie zachowało się archiwum redakcji „pierwszego Tygodnika” z lat 1945–1953. W doniesieniach prasowych informowano, że dokumentacja krakowskiego tygodnika z tych lat, uważana dotychczas za zaginioną, została odnaleziona w zbiorach zmarłego w 1999 r. redaktora naczelnego. Natomiast Tomasz Fiałkowski, opiekujący się z ramienia „Tygodnika” archiwum zapewnił autora w e-mailu z 5 listopada 2002 r., że „materiałów sprzed 1953 r. niestety nie ma”.

W poszukiwaniach badawczych ciągle istotną rolę odgrywa przypadek. Czasami nieoczekiwane odkrycia w zespołach pozornie nie dotyczących tematu wynikają choćby z faktu niezadowolającego uporządkowania i opracowania zespołów archiwalnych. Zapewne i w poszukiwaniach materiałów do monografii „Tygodnika Powszechnego” należy spodziewać się niejednej takiej niespodzianki.

Z tego, zapewne niepełnego przeglądu istniejących źródeł widać wyraźnie, jak szerokiej podstawy materiałowej domaga się rzetelna monografia. Uzasadnia to w pełni przyczyny, dla których opracowania historii poszczególnych tytułów znajdują się najczęściej w sferze postulatów badawczych. Zmiana tej niedopuszczalnej sytuacji narzuca konieczność większej koordynacji współpracy naukowej między badaczami różnych specjalności. Połączenie wysiłków w postaci zespołów badawczych złożonych ze specjalistów posługujących się różnorodnymi metodami: poza historyczną, także socjologiczną i prasoznawczą, może przynieść spodziewane rezultaty. Jednak podstawowym warunkiem postępu w badaniach nad historią prasy wydaje się porzucenie nadmiernego wobec niej dystansu.